Lwów 23. Października №126. Rok 1855.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę.* We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr. miesięcznie 40 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k. Ryciny mód kwartal. 1 Złr. 20 kr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr. za następ. po $1\frac{1}{2}$ kr. i za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha.*

JAK TO BYWAŁO.

przez

Oswalda Pietruskiego.

VIII.

Ucieczka narzeczonej.

(Ciąg dalszy.)

— A dajcie no wódki stara arendarko, wrzeszczeli kozacy głosami zachrypniętemi.

— A na co wam wódki! odrzekła żydówka, wam najlepiej spać, tam w sieniach jest słoma.

— Milczałabyś stara czarownico! Dawaj wódki my zmęczeni.

— A czego panowie tak zmęczeni? zagadła żydówka, podając wódkę.

— Czego?... ot wygnali nas pędzić za jakiemiś dziewkami.

— Aj waj za dziewkami! tego towaru na wsi szukać trzeba.

— Głupiaś! nam ze dworu dwie uciekło.

— Ach! to jakieś głupie dziewki!

— A może wy ich widzieli arendarko? ozwał się jeden ze starszych kozaków.

— Gdzie by one traktem szły.

— A co tu w alkierzu? pytał ten sam i chciał odepchnąć żydówkę która stala we drzwiach.

Ale żydówka nie straciła przytomności i prędko podała staremu nowy półkwaterek wonnej wódeczki,

— No siadajcie panowie i pijcie! przemówiła do nich uprzejmie i z uśmiechem.

I tak jakoś zagadała i zapoiła ich, że i stary i młodzi zapomnieli nie tylko o alkierzu i dziewczętach, ale i o bożym świecie. Zasiedli za stołem, a spora flasza wódki i blaszana miarka stały między niemi.

Łatwo pojąć co przez ten czas działo się z biednemi dziewczętami. Tuląc się jedna o drugą, drzały jak liść osikowy, a serca biły tak gwałtownie że ledwie słyszeć mogły, co w drugiej izbie mówiono.

— Już to ja, mówił jeden, niebyłbym łapał dziewcząt, choćbym i zdybał. Dobrze zrobiły że uciekły, na co staremu głupcowi żony.

— A ja byłbym łapał, mówił drugi i za włosy bym wiódł do zamku bo taki był rozkaz.

— Rozkaz rozkazem, a człowiek człowiekiem, ozwał się trzeci. Ja byłbym złapał tę górską szubrawicę, a tamtę byłbym puścił.

— A przyjechawszy do zamku, byłbym basy dostał, przedrzeźniał inny.

— A mnie musiałaby jedna i druga pocałować, taj puściłbym obie! Szkoda ich do naszego zamku.

— Ale mają dobry charakter w nogach obie latawice. Zaszły gdzieś i ani śladu.

— Ta i lepiej! na co nam tej biedy.

— Ot wypijmy co tam jeszcze jest we flaszce, ta wracajmy do domu.

— Będą krzyczeć jak wrócimy z niczem!

— Ta jakiegoż im czorta przywieść!

— Abo może dalej jechać!

— Aby konie darmo pomęczyć.

Długa była jeszcze narada, która się głównie dla tego przeciągała że ogromna była flasza. Ale gdy już flasza była próżna, a głowy pełne, przeważyło zdanie by przedrzymawszy się trochę wracać do domu. Jakoż wkrótce ozwały się tak potężne chrapania że aż cała drzała karczma.

Biedne dziewczęta dech w sobie zatrzymywały i zasnąć nieśmiały, a każde głośniejsze chrapanie przestraszało ich okropnie. Ledwie szarzyć zaczęło, powstawali kozaki i uciąwszy jeszcze po sporej blaszance wódki, zaczęli się zbierać do odjazdu.

— Ty Iwanku będziesz gadał za nas wszystkich.

— I cóż ja powiem gubernatorowi, że szukaliśmy jak kukułki na ziemi i pod ziemią, w karczmach i w lasach.

Rośmieli się wszyscy, powtórzyli blaszankę na wiwat Iwankowi i jego konceptowi i wyruszyli przecie z karczmy. Coraz słabszy odzywał się tętent koni, a za każdym serca dziewcząt słabiej biły. Odetchnęły biedaczki i zerwawszy się z siana zaczęły z płaczem dziękować żydówce, że ich nie tylko nie wydała, ale wyratowała nawet przytomnością swoją.

— Chwała Bogu, ozwała się żydówka, że już wyjechali te zawadyjaki buczackie! No teraz moje panienki posłuchajcie mojej rady. Zbierajcie się i idźcie póki szaro.

O milę z tąd jest wioska przy samym trakcie. Tam w karczmie siedzi mego brata syn Wulf. Ja dam znaczek do niego, aby się z wami najął, on was zawiezie do Lwowa, bo tak piechotą nie dójdziecie. A nuż starosta Kaniowski wyszle drugą pogoń za wami. Won godzien to zrobić, bo wun!... Resztę dokończyła Abramkowa wskazując na głowę.

Dziewczęta znowu dziękowały poczciwej staruszce i Anusia chciała jej dać złotą obrączkę.

— Ny! odrzekła Abramkowa, to ładna obrączka, złoto extrafein, ale ja co zrobiła to nie za pieniądze zrobiła, bo gdyby Abramkowa chciała pieniędzy, toby więcej dostała od buczackiego puryca. Abramkowa zrobiła z dobrego serca, weź sobie panna obrączkę, ja tylko wezmę co mi się za nocleg należy.

Jak rzekła tak zrobiła, a mimo szczerej chętki z przyzwyczajenia pochodzącej, rachunek tym razem był bardzo słuszny. Dziewczęta zapłaciwszy, pokrzepione szklanką ciepłego mleka, puściły się w dalszą drogę, dążąc do wioski, w której mieszkał synowiec Abramkowej, Wulf.

Lecz nie na tem skończyły się ich kłopoty. Już dnieć dobrze zaczynało, gdy z po za opadającej mgły rannej ujrzały krzyż przy drodze. A przy krzyżu rozchodziły się dwie bite drogi. Biedne dziewki niewiedziały którą iść mają. Wprawdzie Abramkowa nagadała im razy kilka którą mają iść drogą, lecz czy nie uważały, czy zapomniały, dosyć że każda z nich innego była zdania.

— Na prawo iść trzeba, mówiła Anastazja.

— Na lewo, mówiła Anusia.

Już im na płacz się zbierało, gdy nagle usłyszały głos jakiś, odzywający się tam od krzyża.

Wzdrygnęły się z początku przestraszone, lecz wnet uspokoiła ich nuta śpiewanej pod krzyżem pieśni. Obie złożyły ręce do modlitwy, bo głos z pod krzyża śpiewał starodawną, a dobrze im znaną pieśń:

A gdy ranne wstają zorze.

Podbiegły ku krzyżowi i postrzegły długiego i chudego starca, który klęczał pod krzyżem i ranne zmawiał modlitwy.

Na widok dziewcząt podniósł się stary żebrak, takim przynajmniej zdradzały go szaty obdarte i różnobarwne.

— A z kąd to panny idą? zapytał dosyć ciekawie.

— My... odrzekły, porumieniły się i spojrzały po sobie.

— Może do kościoła pędzą panienki na ranne modlitwę.

— A do kościoła! odrzekły, rade z poddanej myśli.

— Szkoda tylko, że tu niema nigdzie blisko kościoła, zaśmiał się stary wyjadacz.

— Prawdziwie!... my! chcemy!... zagadały i urwały pomieszane.

— Niemacie się czego mnie obawiać... ja nie szpieg! i co mi tam zresztą do tego, byleście moje panny były na drodze cnoty i pobożności.

— My jesteśmy na drodze uczciwej; bóg to widzi!... My nieszczęśliwe!...

— Nieszczęśliwe! zagadł dziad, i spojrzał z uwagą w ich twarze jaśniejące wdziękami i dziewiczym rumieńcem. A może wy uciekacie!... może z Buczacza!... to być bardzo może!... znam ja Buczacz.... ja was nie zdradzę moje biedne panienki, lepiej uciec, niżeli upaść.

A widząc z jaką niecierpliwością oglądają się po obu drogach, dodał:

— Może niewiecie którędy macie iść?...

Uprzejme spojrzenie starca dodało im odwagi, spytały więc starca o drogę do wsi wymienionej im przez Abramkową.

Starzec wskazał im drogę. Pokazało się że Anastazja lepiej pamiętała.

— Módl się za nas staruszku poczciwy! rzekła Anusia, i wsunęła mu parę groszy do ręki.

— A niemówcie nikomu o naszem zdybaniu się.

Podziękował staruszek za jałmużnę, i zapewniwszy obie o milczeniu swojem poszedł w swoją drogę. Raz jeszcze się obejrzał za dziewczętami, i mimowolnie mruknął do siebie pod nosem:

— To toby kawalerowie lwowscy zaspiewali na ten widok, co zawsze spiewają po ulicy, nie dając spać nabożnym ludziom.

Gdy się na zwrocie nieco zawinie,
Lotny fartuszek albo spodniczka,
Ledwo z chciwości oko nie zginie,
Żeby obaczyć — koniec trzewiczka.

Tym dziadem był nasz znajomy Maciej Kręcigęba, spieszący do Buczacza.

Nasze dziewczęta raźnym tymczasem postępywały krokiem, modląc się po cichu, i dziękując za widoczną nad niemi opiekę opatrzności.

— Patrz pannuńciu! jakąś wieś widać...

— Daj boże! by to ta była....

W rzeczy samej była to wieś ta sama o której mówiła Abramkowa. Przy samem wnijściu między cerkwią a kołowrotem stała karczma z ogromną, wiecznie otwartą bramą. Na bramie stał żydek z kędzierzawym włosem. Był to sam Wulf, który przeczytawszy karteczkę pani Abramkowej, i poczochrawszy się w głowę...

— Aj waj! to bardzo daleko do Lwowa! wyrzekł....

Niemniej przeto po targu którego jako żyd prawdziwy opuścić nie mógł, zgodził się, i ledwie godzina minęła, siedziały już dziewczęta na prostym wozie, dwoma niezłemi konikami ciągnionym.

Główne niebespieczeństwo już minęło. Dziewczęta spokojniejsze gwarzyły wesoło, koniki biegły dobrze, i za

dwa dni stanęły we Lwowie bez dalszych zdarzeń i przypadków.

Przybywszy do miasta, Anusia zajechała do tego samego domu, gdzie przed parą tygodniami z matką mieszkała. Szło tylko o-to, aby się dostać dalej; o konie we Lwowie nie było trudno, ale z niemałem przerażeniem postrzegły nasze podróżne, że zapas ich pieniężny skończył się zupełnie prawie.

— Trzeba coś sprzedać! mówiła Anusia.

— Ale co? pytała Anastazja.

— Obrączkę złotą!

— To nie wystarczy!...

Trzeba zatem było zajrzeć do zawiniątka. Na szczęście w zawiniątku znalazła się sukienka różowa atłasowa, którą Anusia ledwie parę razy miała na sobie, lecz jak tu przedać i komu? Nie długa była wątpliwość, bo w tej chwili zapukał ktoś do drzwi, i oczywiście wszedł starozakonny faktor, ten nieodstępny gościnnego domu towarzysz.

Był to ten sam faktor, który służył im, gdy były z matką; poznał wprawdzie Anusię, lecz zupełnie zadziwienia swego nie okazywał. Bo faktorowi to wszystko jedno, jemu idzie tylko aby co zarobił, ale od kogo i w jakich okolicznościach to mu rzecz zupełnie obojętna. Dziewczęta opowiedziały mu najnaiwniej swój kłopot, i prosiły razem o konie i o przedanie sukni. Rudy żydek łypnął oczyma z radości ale gębę skrzywił, jakby mu ten interes zupełnie do smaku nie przypadał. Rozłożył suknią, to przystępował do niej, to znowu odstępował, brał w palce, gładził, to naprzeciw światła stawiał, a za każdym nowym ruchem coraz się zawzięciej krzywił.

— Ny! to nie wiele wart! wyrzekł nareszcie z wyrazem komicznej pogardy.

— Głupiś żydzie! wyrzekła Anastazja. Suknia zupełnie nowa.

— Aj waj! nowa!... zieby ja tak zdrów był.

Po długich gadaniach oświadczył wreszcie, że tylko dla starej znajomości postara się za nią o trzydzieści złotych.

— Przyprowadź kupca! odpowiedziała Anna.

— My same będziemy się targować! dodała Anastazja.

— Z tego nic nie będzie! ozwał się faktor. Przedaż sukni i najem koni do Radomia razem iść muszą.

Nie było rady, musiały przystać na propozycją faktora, który miał już swój projekt gotowy. Jakoż pokazało się zaraz, że suknię sam kupił na spekulacją, dał gotówką dwadzieścia złotych, a resztę zostawił niby na furmana. I pokazało się dopiero, że był jakiś koczyk wracający do Radomia, którym przyjechała do Lwowa pani Lubowiecka.

— Panią nic podróż kosztować nie będzie, trzeba tylko furmanowi dawać dużo na sznaps. Te dziesięć złotych dam jemu za całą zapłatę. Nie trzeba tylko żeby się pani Lubowiecka o tem dowiedziała. Koczyk czekać na panią będzie na niskim zamku.

Nazwisko pani Lubowieckiej pocieszyło Anusię niepospolicie, bo to była sąsiadka i przyjaciółka panny Weroniki Wolskiej. Przystała zatem chętnie na to, aby w mieście siąść do powozu.

Żyd pobiegł zaraz, dziesięć złotych schował do kieszeni, furmana upoił, i sprowadził z powozem do niskiego zamku. Wyszły podróżne z zawiniątkiem i siadły do powozu.

— Półtora złotego dziennie furmanowi się należy! zawołał faktor na pożegnanie i znikł co prędzej.

— Po dwa złote mi się należy! krzyknął furman pianiuteńki. Inaczej nie pojadę.

— Zgoda panie Stangret! odrzekła Anusia drżąca cała ze strachu, by ją kto nie zobaczył.

Furman zaciął konie, i pogonił co konie wyskoczyć mogły, aż się powóz na wszystkie przeginał strony.

— Zmówmy pacierz wołała Anastazja, nieprzyzwyczajona do krytego powozu. On nas wywróci.

— Nie bój się Naściu! Ja znam tego furmana, on wiezie doskonale.

Leciał Franciszek jak opętany, lecz gdy stanął wreszcie wieczorem na nocleg i nieco się już otrzeźwił, jakież było jego zadziwienie i przestrach, gdy w wysiadającej Anusi poznał dobrze sobie znajomą pannę z Powiatówki. Naturalnie niepomału się przestraszył, i zaczął Anusi przepraszać, że żądał od niej jakiejkolwiek zapłaty. Jakkolwiek Anusia danego raz przyrzeczenia cofnąć nie chciała, poznanie to na dobre wyszło podróżnym, bo Franciszek z tem większą jechał ostrożnością i uwagą, i podróż szła spiesznie i dobrze.

A że nic się w tej podróży nie zdarzyło, coby na większą zasługiwało uwagę, przeskoczymy wszystkie dnie w drodze przepędzone, przeniesiemy się ostatniego dnia podróży do Powiatówki, gdzie się zupełnie takich nie spodziewano gości.

Pan Maxym bawił ciągle u ciotki, nudził się niepospolicie, niemniej przeto przemijały dzień po dniu spokojnie, i pomału byłby się już przyzwyczaił do tego życia cichego, bez wzruszeń wprawdzie, ale i bez tego przesycenia, które jest koniecznem następstwem wszelkich gwałtowniejszych wstrząśnień, w jakie każde miasto jest bogate. Jedno mu tylko zawadzało, a tem była myśl o popełnionym występku. Błędem mu się dawno wydawał, ale dziś życiem spokojnem poprawiony, przechodząc całą przeszłość swoją w samotnych dumaniach, w coraz ciemniejszych barwach przedstawiał mu się czyn popełniony przez lekkomyślność, czyn wymierzony naprzeciw jedynej krewnej, którą miał, i która jedna na świecie dawała mu liczne dowody swojego przywiązania. Nadaremnie tłumaczył sam przed sobą, że i tak wedle słów samej ciotki, pieniądze te miały kiedyś należeć do niego, czuł mimo to wewnętrznie całą szkaradę postępku swego, i święcie sam przed sobą przysięgał, że nigdy już na podobne nie pójdzie bezdroża.

— Byle tylko jakim sposobem nie dowiedziała się ciotka! to była codzienna srodze go dręcząca myśl z którą codzień wstawał, i codzień kładł się do łóżka.

A tymczasem dnie uchodziły, i ciotka coraz więcej wspominała o liście, który względem tego kapitału swego do księcia Wojewody pisać chciała.

Jakoż tego dnia właśnie, kiedy już Anna do Powiatówki dojeżdżała, wróciwszy do dworu pani Wolskiej, zastajemy ją siedzącą naprzeciw pana Maxyma, który przy stoliku pisał list do księcia Radziwiłła, dyktowany przez ciotkę, w którym panna Weronika wypowiadała księciu panu swój dług u niego lokowany.

Na stoliku stała już świeca przygotowana do zapieczętowania listu. Pan Maksym nie dając za przegranę do ostatniej chwili, perswadował ciotce, że to wypowiedzenie jest niepotrzebne i niepolityczne, a księcia jeno rozgniewać może. Lecz rady jego były daremne, wieść się bowiem rozeszła, starą pannę mocno zastraszająca, że od nijakiego czasu znana księcia akuratność ustawała jak twierdzono dla braku pieniędzy.

List zatem był już napisany, chodziło już tyiko o formę etykietalną zakończenia. Ciotka jak ją znamy dumna z rodu swego, upierała się koniecznie, aby zakończyć temi słowami:

— Waszej książęcej mości szczerze kochająca siostra i najniższa sługa.

Pan Maksym zwolennik nowszych zdań i pojęć przekładał natomiast, iż właściwiej byłoby podpisać:

— Waszej książęcej mości najniższa sługa.

Naturalnie ciotka zwyciężyła, opierając się na trzech królach, jakich miała w rodzie swoim.

Pan Maksym truchlał na myśl, co się stanie gdy list ten dójdzie do Nieświeża, i nad tem tylko medytował żeby jakim sposobem list w swoje dostać ręce, aby jak to mówią zjadł grzybka, to jest nigdy oddanym nie został.

Zwlekał zatem ile mógł, i łamał sobie głowę, jakby to ciotce zaproponować, by jemu list do oddania na pocztę wręczyła, gdy nagle zaturkotało coś na dziedzińcu.

Pierwsza Złotkowska postrzegła powóz i poznała go a że wiele ceniła tę panią, krzyknęła z uniesieniem.

— Dla Boga: to pani Lubowiecka już powróciła. Co to za sławni lekarze we Lwowie, tak ją prędko uzdrowili.

Panna Weronika niemniej się ucieszyła, wypchnęła więc co prędzej synowca, by wraz z Złotkowską szedł witać tak zacnego gościa, sama zaś zapieczętowała list przez ten czas, i ze zwykłym pedantyzmem przypatrywała się pieczątce, czy dosyć wyraźnie wygląda z niej herb Grzymała z dumną mitrą.

Uwaga jej przerwana została krzykiem w sieniach który zrozumieć nie mogła. Jakież było jej zadziwienie gdy płacząca z radości Złotkosia wprowadziła do pokoju równie rozczuloną Anusię. Pan Maksym cieszył się także, ale nie tyle przybyciem kuzynki, ile myślą, że może przy tej sposobności uda mu się dostać w ręce list ten tyle ważny.

Anusia tymczasem upadła do nóg ciotki i zalana łzami całowała je z serdecznem uczuciem. Panna Weronika chociaż jak wiemy ciągle się skarżyła na niewdzięczność siostrzenicy, skoro ją zobaczyła i wpatrzyła się w śliczne jej i poczciwe oblicze, zapomniała o wszelkich swych do niej urojonych pretensjach i równie serdecznie przycisnęła ją do serca swego.

Ani nawet dała jej przyjść do słowa, ale na wszystkie jej tłumaczenia powtarzała ciągle:

— Dobrześ zrobiła moje dziecię!

Po pierwszych chwilach wzajemnego przywitania, pan Maksym zwracał uwagę ciotki na list, który jest tak ważny, iż należy go oddać na pocztę z wszelką ostrożnością.

— Najlepiej będzie, abym sam pojechał temi samemi końmi, które wracać będą przez miasto koło samej poczty. Sam oddam list, a nazad wrócę piechotą.

— Dobry twój koncept Maksiu, zwłaszcza że nie trzeba własnego konia trudzić.

Tak się też stało, pan Maksym pojechał szczęśliwy z listem, którego tak gorąco pragnął i który jak się łatwo domyśleć, nie na pocztę poszedł, ale na cztery wiatry, rozdarty na setne cząstki.

Dopiero po odjeździe Maksyma uspokoiła się rozmowa. Anusia rozpowiedziała wszystko z całą szczerością, przesadzając chyba brzydką powierzchowność i szkaradne przymioty Krzymuskiego. Niemało jej pomogła Anastazja, która nie zapomniawszy języka w gębie, z dzielną i biegłą wymową przedstawiała pannie Weronice całą okropność położenia biednej panienki, mieszając w to nie bez zgrabności, własne niebezpieczeństwo, grożące jej od pana starosty za pośrednictwem Wolskiego.

Obie stare panny nakiwały się niepospolicie, i napłakały niepomału, a że obydwie jak wiemy, niebardzo kochały panią Wolską, przyznały Anusi słuszność, że szczęśliwie uniknęła tylu niebespieczeństw.

Po kilku dniach wszystko dawnym szło torem w Powiatówce. Anusia przyszła do dawnej wesołości, i pomału zapomniała o wszelkich przygodach swoich. Anastazja także wszystkim podobała się, mianowicie Złotkowskiej, której w gospodarstwie pomagała z całą swą młodzieńczą żywością.

Ciotka tymczasem rozmyślała nad nowym projektem, który coraz się jej więcej podobał. Chciała ona skojarzyć małżeństwo między Maksymem i Anusią. Anusi chciała zapisać Powiatówkę, a Maksymowi sumę ulokowaną u Radziwiłła, oboje zaś mieli jej solennie obiecać, że się najtroskliwiej zajmą losem Złotkowskiej aż do jej śmierci.

Projekt ten uśmiechał się staruszce niepospolicie, i dłużej nie zwlekając, wynurzyła się z nim przed Anusią.

Lecz ta ani chciała słyszeć o tem. Cały projekt staruszki rozbił się o upor miłośny Anusi.

— Jasia kocham, odpowiadała ciągle; jemu przyrzekłam stałość niezmienną, i dotrzymam. Do śmierci kochać go nieprzestanę.

Daremne były perswazyje i upomnienia ciotki. Anusia na wszystko miała odpowiedź, i silnego miała sprzymierzeńca w Złotkowskiej, która miała ciągle jakiś rankor do Maxyma. I Maxym sam nie wiele od siebie przemawiał, chociaż mu piękna kuzynka dosyć się podobała,a więcej jeszcze może Powiatówka. Czy że zanadto był jeszcze roztrzepany, czy zamało zakochany, zabiegi jego były zimne, lekkie i obojętne.

Jednem słowem panna Weronika nabierała codzień więcej tego przekonania że nadzieje jej były płonnemi a życzenia nigdy się nie będą mogły zjiścić.

(C. d. n.)

Ucieczka.

Tyś pobladła, drzą ci dłonie,
Dziewczę lube nie bój się;
Ho-ho marne ich pogonie,
Niedosięże tatar mnie.

Koń chowany w wolnym stepie,
Patrz! jak lekko niesie w czwał,
Ledwo nożką łzy otrzepie,
Które wiatr po kwiecie siał.

W plon iść tobie, stój poganie!
Czekaj na to długi czas,
Ho, tchu pokąd w piersiach stanie,
W jasyr nikt nie pójdzie z nas.

Patrz, my dwoje, a za nami
Stokroć większa wrogów moc,
Śmiej się luba! choć my sami
Lecz nas bronią step i noc.

Ho! tam błyska Dnieper w dali,
Fala szemrze nutą dum,
Wnet poranek się zapali...
Cyt, cyt, strzał tatarskich szum.

Koń raniony, koń słabieje,
A już blisko djabły ztąd,
Luba! jeszcze miej nadzieję: —
Wolno płynie Dniepru prąd.

Mieczysław R...

NAJNOWSZE DZIEŁA.

Kobieta z głową.

przez

Dr. Tripplina.

W nowej tej powieści, świeżo wyszłej z druku w Warszawie w 2 tomach, zamierza sobie autor przedstawić wierny obraz dzisiejszego życia obywatelskiego, i to jak już w tytule powiada, z zachowaniem barwy lokalnej galicyjskiej. Ma to być prawdziwe zdarzenie, jedno więcej które nawinęło się panu Tripplinowi, szczęśliwemu jak to już w swojem miejscu powiedzieliśmy, do ciągłego ocierania się o jakieś ciekawe awantury. O ile w tej powieści jest prawdy, wyrokować nie będziemy, chociaż prócz niektórych nazwisk lekko przekręconych miast i osób, w całej treści przebija się coś obcego, coś nie naszego. Są to jak się zdaje mnogie wędrownego życia jakie pędził p. Tripplin wydarzenia, ubierane przez niego sposobem mniej lub więcej prawdopodobnym w swojskie szaty. Główną powieści bohatyrką jest tedy kobieta z głową i to z niepospolitą. Niezaprzeczamy że wszędzie, a więc i u nas mogą się zdarzyć kobiety z głowami, ani też chcemy robić tej krzywdy naszej płci pięknej, by w rzędzie jej przedstawicielek obok pięknych twarzyczek i poczciwych serduszków, nie znalazły się i tęgie główki. Sposób wszakże cały w jaki bohatyrka pojawia tę swoją główkę, i konsekwentnie przeprowadza cel do którego dąży, równie jak i stosunki w jakie po temu przez ciąg życia swego wchodzi, mają widocznie barwę nie naszą, przypominającą mimowolnie nowsze utwory francuskiego powieściarstwa, w którego świecie występują podobne stosunki i podobnie silne głowy niewieście.

Lecz przejdźmy po krótce treść całej powiastki. Młody Grotski Adam wraca z zagranicy, po której lat kilka podróżował, do ojczystej zagrody. Naturalnie dla uprawdopodobnienia zapowiedzianej barwy lokalnej, wraca z mało zwiększonemi zasobami moralnemi, ale za to z długami które po obcych miastach pozaciągał. Zdarza to się u nas dosyć często zapewne, ale się toć zdarza i gdzie indziej, gdzie tylko są ludzie młodzi, puszczający się w podróże. Epizody tego życia pana Adama za granicą odbytego, autor opowiada nam krótko, i nic się z niego bardzo ciekawego nie dowiadujemy, prócz światowych romansików z światowemi paniami, z których jedna nawet z nazwiskiem (jak to autor kilką literami początkowemi okazać usiłuje) historycznem, wywiozła młodego Adama aż między góry szkockie. Smutny jest powrót pana Adama do wioski ojczystej, która po zagranicznych willach wydaje się gorszem jeszcze pustkowiem, niżeli była w rzeczy samej. Pałac i park, niegdyś pełne przepychu, dziś puste, zrujnowane, zaniedbane. Inaczej się tam działo za życia starej pani Grotskiej, matki Adama, księżnej z domu; to też w sku-

tek wystawnego życia mnóstwo długów obciąża majątek doszyć obszerny Grotskich. Pan Adam dowiedziawszy się o tem od ojca, poczciwego szlachcica, lubiącego towarzystwo i polowanie, łamie sobie głowę nad tem, zkądby tu dostać pieniędzy na zapłacenie własnych za granicą zaciągnionych długów. Nawija mu się żyd arendarz, który podaje mu plan ratowania się. Plan ten bardzo jest prosty; oto trzeba żeby się ojciec Adama ożenił z panią Gewałtowską, wdową jeszcze młodą i bardzo bogatą, po mężu izraelskiego pochodzenia, który jej cały majątek zapisał. Młoda ta wdowa nie byłaby od tego, bo nawet lubi dosyć starego Grotskiego któremu pożyczyła jakąś znaczną kwotę. Pan Adam postanawią ożenić ojca bogato, co mu tem więcej na głowie że i on prrócz dlugów zostawił serce swoje w Dreznie. Poznaje cudnie piękną dziewczynę w kościele katolickim w Dreznie, widzi ją potem u rodzonej ciotki, siostry matczynej, która mieszka w Dreznie, i z niemałem zadziwieniem i radością dowiaduje się, że piękna dziewczyna jest polką. Córka jakiejś bogatej pani chowa się w Dreznie, mając przy sobie mnóstwo guwernantek i własny bardzo piękny powóz. Xiężna, ciotka Adama, korzysta nawet z tego powozu, niemniej przeto synowca przestrzega by nie wchodził w bliższe stosunki z Julią, nad której urodzeniem i tak już niskiem jakaś wisi tajemnica. Lecz mimo rad ciotczynych Adam kocha Julią, wyznaje jej to, i wzajemne odebrawszy wyznanie, przysięga że wkrótce wróci do Drezna, by ją wykraść. Na taką tedy wyprawę trzeba mu koniecznie pieniędzy. Jadą więc ojciec z synem do pani Gewałtowskiej, ojciec na pół już przygotowany do myśli żenienia się. Zbliżają się do majątku tej pani, różniącego się o wiele od innych sąsiednich włości, porządkiem, zagospodarowaniem, i zamożnością.

Jest to rodzaj raju w miniaturze, który czy pan Tripplin widział w Galicyi nie wiemy, ale życzyć z serca należy by coś podobnego dało się kiedy zdybać. W majątku tym pani Gewałtowska cudów dokazala; mianowicie górę na której dwór stoi, niegdyś piasczystą, przerobiła w przeciągu lat niewielu w rodzaj ogrodu cudnej zieloności, wyświdrowawszy w niej studnię artezyjską, dostarczającą wody całej okolicy. Jest tam wiele innych cudów wydobytych wytrwałością i rozumnem prowadzeniem rzeczy dziedziczki, kobiety z głową. Pomiędzy najciekawszemi ciekawościami jest bakałarz wiejski, który jest rzeczywistym księciem; wróciwszy z emigracyi, a będąc gołym został bakałarzem. O ile to u nas jest prawdziwem, podnosić nawet nie potrzebujemy.

Pani Gewałtowska wie naprzód o przybyciu Grotskich od swego jak się o tem dowiemy poźniej, powiernika, którym jest ów żyd arendarz. Czeka tedy na nich pod bronią swoich swieżych jeszcze wdzięków, mimo trzydziestu przeszło lat. Rozmowa toczy się najwięcej pomiędzy nią a Adamem, bo chce ona poznać swego przyszłego pasierba, jest bowiem przygotowaną iść za starego Grotskiego i swojemi kapitałami znacznemi upiększyć ich majątek. Syn się jej dość podoba, chociaż od razu poznaje nijaki i miękki jego charakter.

Pan Adam tymczasem dostaje w dni kilka list z Drezna od jednej z guwernantek, Julii, będącej z kochankami w zmowie, donoszący mu, że Julia co dzień smutniejsza i słaba nawet, a to wszystko z tęsknoty. Rozkochany Adam postanawia jechać do Drezna, by co prędzej wykraść kochankę. Aby dostać pieniędzy, jedzie do barona, bogatego sąsiada, także izraelskiego pochodzenia, który mimo majątku i chrztu, bawi się dawnem rzemiosłem to jest lichewką. Figura to nie nowa, nie szczególnie przez autora odszkicowana, prócz niektórych rysów za grubej nieco komiki, do niezapomianych zupełnie obyczajów starozakonnych zastosowanej. Jest to już obraz zużyty, przesadzony, i niekoniecznie ściśle lokalny, bo właśnie najwięcej europejski, od bogatych Rotszyldów zacząwszy. Baron przyrzekł pożyczyć Adamowi pieniędzy za dni kilka, powodowany za nadto błahą na takiego człowieka dumą, by mógł żyć w poufałości z ludźmi dobrego urodzenia. Nawiasem dowiadujemy się, że żyd arendarz szpieguje pana Adama, i dowiedziawszy się o co rzecz idzie, z raportem leci do pani Gewałtowskiej, która z początku nie wie o co rzecz idzie. Lecz w tem odbiera list od innej znowu guwernantki panny Julii, która jej opisuje miłośny stosunek Adama i Julii. Pani Gewałtowska domyśla się wszystkiego i rozpacza, bo Julia jest jej córką. Tu dowiadujemy się że pani Gewaltowska, młodą dziewczyną będąc jeszcze, dobrze urodzona, ale uboga bawiła u państwa, którzy nienajlepiej żyli z sobą.

Pani wyjeżdża sobie z jakimś oficerem, a pan jedzie z córką i z Julią do Włoch. Kocha Julją i chociaż o pierwszej żonie zadnej nie ma wiadomości, wmawia w Julją że już umarła, i żeni się z nią. Tymczasem wraca żona do niego, on w rozpaczy jedzie do domu, wpada nazad pod pantofel żony, i umiera wreszcie, zostawiając żonie drugiej wątpliwe bardzo nazwisko. Lecz ona jest dzielną kobietą; przywiązana namiętnie do córki, dla niej postanawia zdobyć majątak i nazwisko. Dla tego idzie za Gewałtowskiego, a córkę wychowuję osobno w Dreznie.

Odgadłszy wszystko z opowiadania żydowskiego i listu guwernantki, chce ratować córkę od kochanka, który ją zapewne uwieść tylko chce, albo też dla spodziewanego kocha majątku. Postanawia się zemścić i to w ten sposób, że wysyła pannę Wężównę, bawiącą przy niej do Krakowa, z listem już przygotowanym niby od guwernantki, sprzyjającej Adamowi, w którym ta jemu donosi że wszystko już odkryte, i że panna matkę Bóg wie gdzie zabrała.

D. n.

Teatr polski krakowski.

Od chwili otworzenia kursu tegorocznego widowisk sceny naszej aż dotąd, w dziesięciu wieczorach przedstawiano same drobne, znane już poprzednio sztuki. Dyrekcja niemając tak jeszcze uzupełnionego personalu, jakby tego sobie życzyła, nie śmie powierzyć zapewne ról takich, których oddanie w dzisiejszym składzie byłoby niepodobnem. Oględność tę cenimy, szanujemy i dla tego też i publiczność krakowska tak sobie rzecz tę pewno wytłómaczywszy, chodzi i na stare sztuki, choć ich na pamięć prawie umie.

Pani kasztelanowa, *Uściskajmy się*, *Stacja pocztowa w Hulczy*. *Narzeczone*, *Wojna z kobietą*, *Przyjaciółki*, *Łobzowianie*, *Flisaki*, *Listopad*, już to bardzo dobrze znane dzieje. A i w oddaniu ich nie wiele zmiany, bo gdy artyści mniej więcej ci sami, to i ruchy, i głos ich, i wszystkie właściwości, zalety i błędy razem także są te same.

W pierwszych dniach tego miesiąca grano *Zemstę* Fredry. Tegoż wieczora śpiewała p. Rywacka po raz trzeci. Publiczność więc przepełniła salę. Zajęła wszystkie miejsca. Dobre odegranie tej komedji, śpiew naszej artystki, wzbudziły ogólne zadowolnienie, a które się co chwila grzmiącemi oklaskami wyrażało. Wbrew temu powszechnemu zadowolnieniu, dla oryginalności chyba, *poważny* nasz *Czas*, który sobie nie robi subjekcyi pod względem jakichś starannych uwag nad sceną, lecz od bardzo dawna na ogólnikach przestaje, raptem uniósł się potokiem namiętności, wylał gorzką żółć w dwóch artykułach na cały teatr, na wszystkich aktorów, *zadosyć uczynił*, jak powiada *swej zemście* (za co?) i w strasznym gniewie nawet o p. Rywackiej, ot tak sobie, znowu ogólnikiem zakończył. Wiele bardzo osób przeczytawszy ten artykuł, zdziwiło się niesłychanie, jak się to zrobiło, że tu tak bardzo ganią a im się jednak podobało, ale pokręciwszy głową, uwierzyli przeciwnemu zdaniu, *bo wydrukowane*! Nie ogrzani wiarą tego rodzaju, nie zmieniamy powziętego w sali teatru przekonania, że sztuka ta była lepiej od wielu innych odegrana, i że charaktery były tak oddane jak je chciał mieć autor. A jeżeli niezaprzeczymy że były błędy, że np. Papkin mógł być lżejszy, mniej się wykrzywiać, Cześnik być poważniejszym i głos mieć naturalniejszy, a córka jego nie wszystko jednym tonem zaczynać i ciągle tych samych kiwających się ruchów używać i t. p., nie powiemy że to było *parodią komedji*, że było wszystko *zepsute*, *przesadzone*, a wskazując usterki nie zażądamy od artystów ruchów wachających się, wpół zaczętych, wpół nieskończonych, jak to czyni recenzent *Czasu*, gromiąc ich że mają *pewne*.

Niezawodnie, tylko recenzje, rozbiory krytyczne i samej sztuki i oddania tejże, mogą i artystów pouczyć, oświecić, i publiczność zachęcić, a interes zajęcia dla sceny narodowej obudzić. Wołają o to pewno obydwie strony, bo to dla obydwóch niezbędne. Ależ te rozbiory powinny być sumienne, bezstronne, trzeba w nich nie tylko zganić co było źle, ale i wskazać jak dobrze być powinno, a zawsze oddać zasłużoną sprawiedliwość. Za przewinienie jednego nie karać wszystkich, za niepojęcie roli przez jednego lub dwóch nie wołać że cały teatr nic nie wart i nad tem tylko ubolewać że on *dłużej zostanie*! (sic) Stara to, ale i dziś przydatna zasada, *że łatwiej wiele zburzyć jak mało postawić*!

Na zakończenie należnych jeszcze przedstawień z przeszłorocznego abonamentu, dano ogromny dramat p. Birch. Pfeifer, przez Kamińskiego przełożony, p. n. *Anna królowa Francyi*, przez niemiecką autorkę z powieści Dumasa przerobiony, na krakowskiej ziemi niewidziany, szumnym tytułem a przy niedzieli do tego, zwabił dużo publiczności. Czy pod względem historycznym tam wszystko prawdą, czy Rychelieu, Ludwik XIII. żona jego, Bukingkam, etc. tak samo wyglądali, tak samo się ruszali, o to niepytamy, bo to nas mniej obchodzi, a w każdym razie wątpimy, porównawszy te niedzielne postacie z osobami które nam historja maluje.

(D. n.)

Rozmaitość.

* **Przewidzenia nasze sprawdziły się.** Powiadają że przysłowia są bogactwem narodu, obowiązkiem jest zatem chwytać każde nowe jakie się utworzy przysłowie. Do najnowszych należy to o sprawdzających się przewidzeniach, które grozi że zastąpi u nas kalendarzową prawdę. Naturalnie mądrość polityczna niektórych dziennikowych luminarzy utworzyła je. »Powstają nieporozumienia między Rossją i Turcją, trudno wszakże by przyszło do wojny,« mówią i piszą ci panowie w r. 1853. W rok później decydują najpoważniej „Przewidzenia nasze sprawdziły się, wojna Rossy z Turcją niezawodna. „Skończy się na interwencyi dyplomatycznej“ mówią w innem miejscu: Jakeśmy przepowiedzieli tak się stało, francusko angielskie wojska są już w Warnie“ twierdzą w kilka miesięcy później. „Sebastopol nie jest do wzięcia“ przepowiadają z wysokości swojej: „Jakeśmy powiedzieli Sebastopol zdobyty,“ trąbią później. „Oto przepowiednia nasza się do ziszcza, iż flota popłynie na Odessę.“ Tymczasem flota rzuca i Odessę i płynie przed Kinburn. Ogłaszają więc jutro, że już pod ukazaniem się floty przepowiedzieli „iż właściwie Kinburn był celem tej wyprawy“ — Tak to kto umie razem przepowiadać czarno i biało, pokój i wojnę, zawsze później ogłosić się może prorokiem. O takich to prorokach powstało przysłowie: przewidzenie nasze się sprawdziło. A że tacy ludzie lub dzienniki zwykle szeroko i głośno, a zarozumiale rozprawiają, mają jeszcze tę wielką za sobą korzyść, że w końcu zasługują na miano dzienników czy ludzi poważnych. Dziennik lub człowiek poważny, stało się już teraz ogólnikiem tyle prawdziwym ile sprawdzanie się ich przewidzeń. Jeżeli na jedno można by powiedzieć, tyle prawdy ile w kalendarzu, do drugiego dało by się zastosować naszą dawną gadkę o mądrości konceptów z kalendarza. Poważny dziennik czy człowiek wyszło teraz na coś podobnego, jak gdy o kim powiedzą: „To jest dobry człowiek! Jest

to już dosyć, by słuchający domyślił się wielkiej próżni, szumnym tytułem pokrytej. Głupcy wszyscy bowiem po zaszłych już wydarzeniach przybierając poważną minę, chełpią się zawsze, iż je przewidzieli. Jest to ich cechą charakterystyczną.

Przyjechali od dnia 20. do 22. Października do Lwowa.

Hr. Skarbek Alex. i Wład., z Tarnopola. PP. Barański Karol, z Chłopczyc. Mantner Maciej, z Gródka, Viktor Tad., ze Świrza. Turkuł Tad., z Obodówki. Rylski Hen., z Dłużniowa. Arzt Edw., z Przemyśla.

JE. baron Simbschen, z Przemyśla. Hr. Komorowski Piotr, z Bilinkt. PP. Krzeczunowicz Ign., z Jaryczowa. Malczewski Stan., z Cześnik. Gumowski Wiktor z Berecznik. Stojałowski Jul., z Buczacza. Strzelecki Eug., z Wyrowa.

Wyjechali od dnia 20. do 22. Października ze Lwowa.

Hr. Borkowski Stan., do Stanisławowa. Hr. Siemieński Kaj., do Żółkwi. Hr. Drohojewski do Bartatowa. Hr. Czacki Alex., do Radymna. PP. Padlewski Alex., do Brzozowa. Sznszkiewicz Jędrzej, do Stryja. Biegelmajer Lud., do Jaworowa, Wiśniewski Wiktor, do Strzelisk.

Hr. Gołuchowski Stan., do Skałatu. PP. Śliwiński Wojc., do Dąbrowiec. Viktor Tad., do Świrza. Jędrzejewski Dawid, do Glińska. Falkowski Michał, do Głuchowa. Szydłowski Jan, do Mikołajowa. Imks. biskup Wierzchlejski Fran. Ksawery, do Przemyśla,

Kurs telegrafowany z Wiednia 22. b. m. o g. 2. popołud

Augsburg za 100 złr. .	$113\frac{1}{2}$	Pożyczka 5%	$74\frac{3}{4}$ —
Hamburg za 100 tal. banco	$82\frac{3}{4}$	Akcye banku	1045
Londyn za 1 funt szterl.,	11 3	Kolej północna	2030
Medyolan za 300 lirów	$112\frac{5}{8}$	Obl. ind.	$68\frac{1}{2}$
Paryż za 300 franków .	$131\frac{3}{4}$	Nowa pożyczka z loteryą	$97\frac{7}{8}$
Agio duk. ces.	18	Pożyczka narodowa . .	$78\frac{3}{4}$

Wczorajszy **Kurs Lwowski** Gotówka towarem.

	Gotówka				towarem			
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	16	złr.	5	kr	19
Dukat cesarski	„	5	„	18	„	5	„	22
Półimperyał zł. rosyjski	„	9	„	4	„	9	„	8
Rubel srebrny rosyjski	„	1	„	45	„	1	„	46
Talar pruski	„	1	„	40	„	1	„	42
Polski kurant i pięciozłotówka	„	1	„	15	„	1	„	16
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	„	91	„	15		91	„	45
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		67	„	15	„	67	„	45
5 proc. pożyczka narodowa		78	„	—	„	79	„	—

Lwów, 22. b. m. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 35 złr. 35 kr. do 37 złr. 30 kr. — Żyta po 24 złr. — kr. do 29 złr. 30 kr. Jeczmienia po — złr. — kr. do — złr. — kr. Owsa po 16 złr. — kr. do 16 złr. 15 kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po — złr. — kr. do 20 złr. 30 kr. — Ziemniaków po — złr. — kr do — złr. 30 kr. Sąg drzewa bukowego — złr. — kr. do 48 złr 45 kr. Sosnowego po — złr. — kr. do — złr. w.w. Cetnar siana — złr. — kr. do — złr. 35 kr. — Centnar słomy — złr. — kr. do — złr. — kr. w. w. — Garniec 30 stopniowej okowity bez opłaty 4 Złr. 5 kr. do 4 złr. 20 kr. w. w.

☞ Do dzisiejszego numeru dołączony jest Dodatek.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcję: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**